



ROBYN SCHNEIDER

POCZĄTEK *Wszystkiego*

MASZ JEDNO ŻYCIE.
DZIKIE I CENNE

moondrive

ROBYN SCHNEIDER

POCZATEK *Wszystkiego*

tłumaczenie Aga Zano

moondrive

Kraków 2017

Tytuł oryginału: *The Beginning of Everything*

Copyright © 2013 by Robyn Schneider

Copyright © for the translation by Aga Zano

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Korekta: Magdalena Adamek / d2d.pl,

Katarzyna Gniewko / d2d.pl

Łamanie: Alicja Listwan / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Volodya Senkiv / Shutterstock.com

Fotografia autorki: © Robyn Schneider

ISBN 978-83-7515-460-3

moondrive
www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Moim rodzicom, którzy na pewno będą
w tej książce szukać siebie. Nie martwcie się,
ułatwiłam Wam zadanie – jesteście na widoku!*

„Świat łamie każdego i potem niektórzy
są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania”.

Ernest Hemingway, *Pożegnanie z bronią*,
tłum. B. Zieliński

Czasem myślę sobie, że na każdego czai się jego osobista tragedia. Że ktoś, kto właśnie kupuje mleko w pizamie albo dłubie w nosie na światłach, może być sekundę od katastrofy. Że każde życie, nieważne, jak zwyczajne, ma tę jedną chwilę, kiedy staje się wyjątkowe – chwilę, po której wydarzy się wszystko, co naprawdę ma znaczenie.

Mojego przyjaciela Toby'ego tragedia dopadła tydzień przed rozpoczęciem szóstej klasy w podstawówce Westlake. Tamtego lata mieliśmy świra na punkcie ping-ponga, bez przerwy graliśmy na bosaka u Toby'ego na podwórku i wyobrażaliśmy sobie, że wystartujemy w jakichś mistrzostwach świata. Ja byłem lepszy, bo rodzice siłą wysłali mnie na prywatne lekcje tenisa, kiedy tylko nauczyłem się trzymać widelec. Ale czasami pozwalałem Toby'emu wygrać, bo był moim kolegą. Dla mnie to była całkiem nowa gra: jak przegrać dość przekonująco, żeby się nie zorientował, że zrobiłem to specjalnie. Więc kiedy on trenował do pucharu świata w ping-pongu, ja w sekrecie buntowałem się przeciw swojemu ojcu, który wierzył, że w życiu liczy się wyłącznie wygrywanie. To był taki mały akt przyjacielskiej anarchii.

Toby i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółmi – takimi, którym niespecjalnie zależało na towarzystwie innych rówieśników. Ale jego mama uparła się, że zafunduje mu przyjęcie urodzinowe. Może po to, żeby zapewnić synowi popularność w szkole – przywilej, którym żaden z nas się dotąd nie cieszył.

Rozesłała zaproszenia z motywem z *Piratów z Karaibów* do sześciu dzieciaków z naszego roku – wszystkich nas łączył kompletny brak zainteresowania wspólną zabawą – i zabrała całą paczkę do Disneylandu najbrudniejszym bordowym minivanem świata. Był ostatni wtorek wakacji.

Mieszkaliśmy zaledwie dwadzieścia minut samochodem od Disneylandu, więc do szóstej klasy urok magicznego królestwa zdążył już zblednąć. Doskonale wiedzieliśmy, na czym warto się przejechać, a co jest stratą czasu. Kiedy pani Ellicott zaproponowała wejście do Zaczarowanego Pokoju Tiki, zareagowaliśmy taką lawiną szyderstw, jakby oczekiwała, że będziemy jeść sałatę na patyku zamiast waty cukrowej. Ostatecznie postanowiliśmy zacząć od Góry Wielkich Grzmotów – i na tym, jak się wkrótce okazało, skończyliśmy.

Toby i ja usiedliśmy na samym końcu, bo każdy wie, że ostatni wagonik jedzie najprędzej. Reszta naszej wycieczki rzuciła się na przód. Mimo że z tyłu jest najlepiej, z jakiegoś niepojętego powodu front jest zawsze najpopularniejszy. Tak więc od reszty urodzinowej grupy oddzielił nas ocean innych gości Disneylandu.

Może pamiętam wszystko tak wyraźnie przez to, co się potem wydarzyło. Kojarzycie te znaki przy wejściu na każdą atrakcję: takie z czarną linią wskazującą, że trzeba mieć co najmniej tyle wzrostu, żeby wejść? Zawsze jest tam też masa kretyńskich ostrzeżeń: że kobiety w ciąży i osoby z wadą serca nie powinny jeździć kolejkami górskimi, że trzeba zdjąć plecak i że nie wolno wstawać podczas jazdy.

Okazało się, że te ostrzeżenia wcale nie są takie bezsensowne. Zaraz przed nami siedziała rodzina Japończyków. Wszyscy mieli na głowach czapki z uszami Myszki Miki z imionami wyszytymi z tyłu. Toby i ja usiedliśmy na swoich miejscach. Ruszyliśmy. Wiatr niemal rozpląszczał nam twarze, a kolejka tak huczała na rozdygotanych torach, że prawie nie słyszeliśmy własnego krzyku. Wtem jeden z chłopców przed nami buntowniczo podniósł się z siedzenia. Śmiał się i przytrzymywał dłonią uszatą czapkę, kiedy nagle wjechaliśmy do niskiego tunelu.

W wiadomościach powiedzieli, że czternastolatkowi z Japonii urwało głowę podczas jazdy na Górze Wielkich Grzmotów, bo zignorował nakazy bezpieczeństwa. Ale nie dodali, że głowa dzieciaka, wciąż w czapce Myszki Miki, poszybowała do tyłu, wirując jak makabryczny helikopter, a Toby Ellicott, w dzień swoich dwunastych urodzin, złapał ją i szokowany trzymał mocno na kolanach przez resztę przejażdżki.

Po czymś takim nie da się stanąć z powrotem na nogi z godnością. Nie było żadnej magicznej odpowiedzi na niezliczone żarty rzucane w stronę Toby'ego na korytarzach Westlake Middle School, na kpiące rady, żeby nie tracił głowy. Tragedią Toby'ego było to, że wybrał akurat tamto miejsce na rollercoasterze w dniu swoich dwunastych urodzin. Od tej pory mój przyjaciel musiał żyć w cieniu owego wydarzenia.

To równie dobrze mogłem być ja. Gdybyśmy usiedli odwrotnie albo gdyby chłopcy przed nami w ostatniej chwili zamienili się miejscami, to byłaby moja tragedia, nie Toby'ego. Czasami o tym myślałem, gdy przez lata oddalaliśmy się od siebie. Toby zlał się z tłem, a ja cieszyłem się niewyjaśnioną popularnością. W gimnazjum i liceum moje kolejne dziewczyny śmiały się i zaciekawione marszczyły nosy.

– A ty się czasem nie kumplowałeś z tym koleśkiem? – pytały. – Tym, co złapał urwaną głowę w Disneylandzie?

– Dalej się przyjaźnimy – odpowiadałem, ale to nie była prawda.

Wciąż lubiliśmy się na tyle, żeby czasem rozmawiać przez internet, ale tamtego lata naszej przyjaźni też urwało głowę. Mnie, podobnie jak pechowemu dzieciakowi przed nami, żaden ciężar nie spoczywał na barkach.

Sorry. Nie powinienem tak żartować, wiem. Jednak minęło już tyle czasu, że wydaje mi się to koszmarną opowieścią, a nie czymś, co widziałem na własne oczy. Ale ponieważ ta tragedia należała do Toby'ego, to on musiał sobie z nią poradzić, a ja wyszedłem z tej sytuacji względnie nietknięty.

Moja własna tragedia czekała na odpowiedni moment. Chciała uderzyć, kiedy już przyzwyczaję się do całkiem niezłego życia na zwyczajnych przedmieściach i przestanę oczekiwać, że przytrafi mi się coś ciekawego. Dlatego kiedy moja osobista tragedia wreszcie mnie znalazła, było już prawie za późno. Właśnie skończyłem siedemnaście lat i cieszyłem się taką popularnością, że prawie było mi głupio. Dobrze się uczyłem i groziło mi pozostanie absolutnie nie-niezwyczajnym gościem na całą wieczność.

Jonasa Beideckera ledwie kojarzyłem – jak kogoś, kto siedzi w ławce obok, albo jak wielkiego vana na lewym pasie, gdy prowadzisz. Miałem go na radarze, ale tylko trochę. To on zorganizował imprezę w swoim domu nad North Lake, z altaną w ogrodzie pełną sześciopaków piwa i lemoniady z wódką. Na podwórku wisały splecione girlandy lampek choinkowych, choć był weekend przed połowinkami. Świąteczka migotała w mętnej wodzie jeziora. Na ulicy roilo się od samochodów, więc musiałem zaparkować aż w Windhawk, dwie przecznice dalej, bo miałem paranoję, że ktoś porysuje mi lakier.

Całe popołudnie po treningu tenisa klóciłem się ze swoją dziewczyną Charlotte na kortach. Oskarżyła mnie – zobaczmy, czy uda mi się to dokładnie powtórzyć – o „unikanie

obowiązków przewodniczącego w związku z organizacją luau”. Powiedziała to tak sztywno, jakby oczekiwała, że będę się wstydzić. Jakby jej przewidywania, że doroczną hawajską imprezę dla starszych klas trafi szlag, miały sprawić, że zerwę się na równe nogi i natychmiast zwołam nadzwyczajne posiedzenie samorządu.

Pot łał się ze mnie strumieniami. Właśnie kończyłem butelkę gatorade, kiedy weszła na kort w sukience bez ramiączek, którą cały dzień skrywała pod sweterkiem. Gdy mówiła, byłem zajęty myśleniem, jak seksownie wyglądają jej nagie ramiona. W końcu powiedziała, że czasami jestem beznadziejny i że idzie na imprezę Jonasa ze swoją przyjaciółką Jill, bo nie da się ze mną rozmawiać, kiedy tak niemożliwie się zachowuję. Chyba na to zasłużyłem.

– Jak ktoś jest niemożliwy, to chyba oczywiste, że się nie da – odparłem, wycierając gatorade z brody.

Zła odpowiedź. Wydała z siebie wściekły dźwięk, taki trochę pisk, a trochę warknięcie, i odeszła zamaszystym krokiem. Dlatego spóźniłem się na imprezę i nawet się nie przebrałem. Wciąż miałem na sobie spodenki do tenisa, bo wiedziałem, że to ją jeszcze bardziej rozdrażni.

Schowałem smycz z kluczami do kieszeni i skinąłem na powitanie całej masie różnych ludzi. Byłem przewodniczącym drugich klas i kapitanem drużyny tenisowej, więc zawsze musiałem kiwać głową i uśmiechać się do ludzi, gdziekolwiek bym poszedł. Jakby życie było sceną, a ja tylko skromnym tenisistą.

Sorry, znowu się wygłupiam. Już tak mam. Ludzie się rozluźniają, kiedy mogą wspólnie przewrócić oczami, gdy ktoś ważny robi coś durnego.

Złapałem plastikowy czerwony kubek, choć nie zamierzałem pić alkoholu, i przyłączyłem się do grupki chłopaków z tenisa stojących na podwórku. Ci sami co zwykle, już nieźle wstawieni. Przywitani się ze mną stanowczo zbyt entuzjastycznie.

Cierpliwie zniosłem radosne walenie po plecach z przyjaznym grymasem na twarzy, po czym usiadłem na podsuniętym mi leżaku.

– Faulkner, musisz to zobaczyć! – zawołał Evan. Stanął na donicy, zataczając się pijacko. W dłoniach ścisnął wściekle zieloną rurkę zrobioną z pianki do pływania i próbował ją trochę ustabilizować, a Jimmy ukląkł na ziemi i przyłożył sobie koniec rurki do twarzy.

Chcieli zrobić z niej lejek do piwa, co najlepiej wskazywało na to, jak bardzo już się spili.

– No, lej – zażądał Jimmy, a reszta chłopaków zaczęła rytmicznie tłuc w meble ogrodowe na zachętę.

Wstałem z leżaka i poprowadziłem ceremonię, bo taka była moja rola w towarzystwie – przewodzenie różnym rzeczom. Stanąłem więc koło nich z kubkiem w ręce i wygłosiłem sarkastyczną przemowę o tym, że całe wydarzenie zostało zorganizowane na potrzeby *Księgi rekordów Guinnessa*, ale tylko dlatego, że pijemy guinnessa. Tak samo jak na stu innych imprezach, jeden z setek kretyńskich numerów, które nigdy nie działały, ale przynajmniej wszyscy dobrze się bawili.

Jak łatwo było przewidzieć, rurka nie zdała egzaminu. Jimmy i Evan obwiniali się nawzajem i wymyślali coraz bardziej absurdalne wymówki, które nie miały nic wspólnego z oczywistym brakiem przemyślenia fizycznej strony całego przedsięwzięcia. Następnie rozmowa zeszła na temat afterparty po połowinkach – całą grupą zamierzaliśmy wynająć apartament w luksusowym hotelu Four Seasons – ale słuchałem tylko jednym uchem. Zaraz mieliśmy zacząć ostatnią klasę liceum. Myślałem sobie, co to dla mnie znaczy, te wszystkie rytuały: studniówka, luau, matura. Od lat się im przyglądałem, ale nagle stały się czymś bardzo osobistym.

Zrobiło się chłodno. Dziewczyny dygotały w lekkich sukienkach. Kilka usiadło na kolanach swoim chłopakom z drużyny

tenisa. Powyciągały telefony, jak zwykle robią to dziewczyny na imprezach. Ekrany rzucały niebieskawą poświatę na ich dłonie.

– Gdzie jest Charlotte? – zapytała któraś.

Minęła dobra chwila, zanim zorientowałem się, że pytanie zostało skierowane do mnie.

– Halo? Ezra?

– *Sorry* – odparłem, przeczesując włosy palcami. – A nie jest z Jill?

– Nie. Jill ma szlaban. Kojarzysz? Miała takie portfolio. Na stronie dla modelek. Jej rodzice to znaleźli i dostali szału, bo przez pomyłkę uznali, że to porno.

Kilku chłopaków natychmiast podniosło głowy na dźwięk słowa „porno”, a Jimmy wykonał obsceniczny gest piankową rurką.

– Jak można przez pomyłkę uznać coś za porno? – zapytałem, umiarkowanie zainteresowany kierunkiem, jaki przybrała ta rozmowa.

– Jeśli używasz samowyzwalacza, to jest porno – wyjaśniła dziewczyna, jakby to była powszechna wiedza.

– Okej. – Pożałowałem, że nie jest mądrzejsza i że jej odpowiedź nie zrobiła na mnie wrażenia.

Wszyscy się roześmiali i zaczęli sypać żartami o porno. Zorientowałem się, że rzeczywiście nie mam pojęcia, gdzie jest Charlotte. Sądziłem, że spotkamy się na imprezie i że będzie robić to, co zawsze po naszej kłótni: siedzieć z Jill, przewracać oczami i okazywać mi niechęć z drugiego końca pokoju, aż w końcu podejdę i ją wylewnie przeproszę. Ale nie widziałem jej cały wieczór. Wyciągnąłem telefon i wysłałem jej esemesa.

Pięć minut później wciąż nie miałem odpowiedzi. Nagle do naszego stolika podszedł Heath, potężny maturzysta z drużyny futbolu. Powkladał swoje kubki jeden w drugi, miał ich

z sześć albo siedem. Pewnie chciał zrobić wrażenie, ale pomyślałem tylko, że to głupie marnotrawstwo.

– Faulkner – burknął.

– No?

Powiedział, żebym wstał. Wzruszyłem ramionami i poszedłem za nim ku małej błotnistej zatoczce tuż nad jeziorem.

– Powinieneś pójść na górę – oznajmił z taką powagą, że nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się sprzeciwić.

Dom Jonasa był spory. Na oko pięć albo sześć sypialni. Ale szczęście, jeśli mogę to tak nazwać, akurat mi sprzyjało.

Moja nagroda była już w bramce numer jeden: Charlotte, jakiś typ, którego pierwszy raz widziałem na oczy, i scena, która sfotografowana telefonem mogłaby zostać przez pomyłkę uznana za porno, choć wcale nie stałby za tym mój zamysł artystyczny.

Odkaszniałem. Charlotte również, choć z jej strony wymagało to trochę wysiłku. Stałem w korytarzu, a ona patrzyła na mnie z przerażeniem. Facet zapiął dżinsy i warknął:

– Co to ma być, do cholery?

– Ezra, ja... Ja... – wyjąkała Charlotte. – Nie wiedziałam, że przyszedłeś.

– Za to on już prawie doszedł – mruknąłem kwaśno.

Nikt się nie roześmiał.

– Co to za koleś? – zapytał ostro facet, patrząc to na mnie, to na Charlotte. Nie był z naszej szkoły i wyglądał na starszego. Jak student, który wbił się na licealną imprezę.

– Jej chłopak – odparłem, ale zabrzmiało to niepewnie, bardziej jak pytanie.

– To ten? – upewnił się, mrużąc oczy. – Mogę mu dosunąć.

Więc nagadała na mnie temu złamasowi? Gdyby doszło do bójki, pewnie by sobie ze mną poradził. Miałem wściekły zamach, ale rakieta do tenisa, a nie pięścią.

– Lepiej ją sobie dosuń – zaproponowałem, odwróciłem się na pięcie i odszedłem korytarzem.

Może wszystko skończyłoby się inaczej, gdyby Charlotte nie pobiegła za mną, wołając, że przecież mam z nią iść w sobotę na połowinki. Może byłoby okej, gdyby nie robiła mi dalej wyrzutów pośrodku zatłoczonego salonu. Może nic by się nie stało, gdybym nie przejmował się tak samochodem i nie zaparkował go aż przy Windhawk, żeby uniknąć pijanych kierowców, którzy mogliby mi wgnieść blachę.

Może gdyby któraś z tych rzeczy się nie wydarzyła, nie wyjechałbym na zakręt Princeton Boulevard właśnie w momencie, kiedy nagle znikąd wypadł czarny SUV i popędził prosto na mnie, nie zatrzymując się przed znakiem stopu.

Nie wiem, czemu mówi się „potrącił go samochód”, jakby maszyna rzeczywiście podeszła i trąciła kogoś ramieniem. Mnie najpierw uderzyła poduszka powietrzna, potem kierownica, a potem chyba drzwi od strony kierowcy i ta część samochodu, o którą zwykle wali się niechcący kolanem, nie wiem, jak to się nazywa.

Siła zderzenia była ogłuszająca. Wydawało mi się, że wszystko leci prosto na mnie i zgniata się wokół. Czułem smród silnika zdychającego pod maską. Trochę jak palona guma, ale z taką słoną, metaliczną nutą. Wszyscy wybiegli na trawnik Beideckerów dwa domy dalej. Przez chmurę dymu unoszącego się z silnika dostrzegłem szpaler dziewczyn w sukienkach bez ramiączek. Trzymały wysoko telefony i sumiennie fotografowały wrak skasowanego samochodu.

Ale ja tylko siedziałem i się śmiałem, bo przecież jestem nieśmiertelnym stuletnim wampirem.

Dobra, jaja sobie robię. Wiadomo, byłoby super, gdybym mógł się otrząpać i pojechać w swoją stronę, jak ten chytry palant, który śmignął w długą i nawet nie obejrzał się za siebie po tym, jak rozwalił moją ukochaną beemkę. Byłoby wspaniale,

gdyby wszyscy imprezowicze nie rozpięrzchli się w popłochu, żeby gliny nie zgarnęły całej bandy nieletnich za spożywanie alkoholu. Gdyby Charlotte albo chociaż jeden z moich domniemanych przyjaciół został na miejscu, żeby pojechać razem ze mną w karetce, kiedy leżałem nieprzytomny z bólu. Gdyby moja matka nie koncentrowała się na wyborze najlepszej biżuterii i nie przyjechała na pogotowie ze szminką na zębach.

To okropne, że pamiętam takie pierdoły, co? Małeńkie szczegóły bez znaczenia, wirujące na peryferiach potężnej katastrofy.

Nie chce mi się więcej o tym opowiadać – mam nadzieję, że mi wybaczą. Wystarczy, że raz musiałem przez to przechodzić. Moja biedna fura nadawała się tylko na żyletki, jak cała reszta mojego życia. Lekarze powiedzieli, że nadgarstek się zagoi, ale z nogą nie było dobrze. Kolano miałem zupełnie strzaskane.

Ale to nie jest tak naprawdę opowieść o dwunastych urodzinach Toby'ego ani o skasowanym samochodzie na imprezie u Jonasa.

W chemii organicznej jest taki problem, nazywa się retrosynteza. Dostajesz związek chemiczny, który nie występuje w przyrodzie, i musisz go rozpracować wstecz, krok po kroku, żeby dojść do tego, jak powstał – jakie warunki doprowadziły do takiej kombinacji. Kiedy skończysz i zrobisz to prawidłowo, otrzymasz równanie, które będzie można normalnie przeczytać. Nie da się odróżnić pytania od odpowiedzi.

Wciąż uważam, że każde życie, nieważne jak mało wyjątkowe, ma swój jeden tragiczny punkt zwrotny, po którym dzieje się wszystko, co naprawdę ma znaczenie. Ta chwila to katalizator – pierwszy krok w równaniu. Ale poznanie pierwszego kroku nic ci nie da – dopiero to, co nadchodzi później, odpowiada za ostateczny wynik.

Więc jak miały się sprawy po mojej osobistej tragedii? Najpierw byłem smętnym frajerem w szpitalu, obojętnym na żywe i wesolutkie pielęgniarki z oddziału pediatrii. Potem stałem się intruzem we własnym domu. Na pewien czas zamieszkałem w pokoju gościnnym na parterze. Byłem inwalidą, ułomnym, jakby ktoś wołał. To najbardziej przerażające słowo, jakie słyszałem wobec kogoś, kto właśnie powinien wracać do zdrowia. W matematyce ułamek funkcjonuje w stosunku do liczby naturalnej, której jest częścią. Tylko częścią, niczym więcej.

Chociaż nie, cofam ten sprzeciw. To słowo rzeczywiście do mnie pasowało. Kiedyś byłem Ezrą Faulknerem, złotym chłopcem, ale ta osoba odeszła w zapomnienie. Został ułamek dawnego Ezry. Dowód?

Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem, ale ostatniej nocy tamtych wakacji pojechałem do Eastwood High. Było późno, koło jedenastej, rodzice już spali. Wypielegnowane alejki mojego grodzonego osiedla były ciemne i przytłaczająco samotne, jak to czasami bywa nocą na przedmieściach. Pola truskawkowe wzdłuż ulicy wyglądały, jakby ciągnęły się

w nieskończoność, choć tak naprawdę ze starych farm niewiele zostało – mały gaj pomarańczowy naprzeciwko chińskiego pasażu handlowego i zielone pasy rozdzielcze między jezdniami, na których rosły wiekowe jawory uwięzione za barierkami.

Kiedy się nad tym zastanowić, to dość dołujące – mieszkać na grodzonym osiedlu pełnym domów „w stylu hiszpańskim”, każdy z sześcioma sypialniami, podczas gdy niecały kilometr dalej nielegalni imigranci pracują na czarno i całymi dniami gną się wpół na polach truskawek. A ty codziennie przejeżdżasz koło nich w drodze do szkoły.

Liceum Eastwood znajduje się w najdalej wysuniętym na północ zakątku miasteczka Eastwood w Kalifornii i chowa się u stóp okolicznych wzgórz jak jakaś stiukowa forteca. Zaparkowałem na miejscu dla nauczycieli, bo czemu nie? Walić to. Przynajmniej tak sobie powiedziałem. W rzeczywistości jednak była to oznaka nie buntu, lecz słabości – parking dla nauczycieli znajdował się zaraz przy kortach tenisowych.

Wokół kompleksu basenowego unosił się zapach chloru, a personel zdążył już porozstawiać plażowe parasole przy stolikach kawiarni na tarasie. Widziałem ich poprzechylane zawiadacko sylwetki.

Miałem własny klucz. Otworzyłem bramkę do swojego ulubionego kortu i podstawilem torbę ze sprzętem, żeby się nie zamknęły. Moja rakietę, której nie trzymałem w dłoniach od miesięcy, wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem. Rączkę miała owiniętą czarną taśmą, która już trochę odchodziła. Pomyślałem, że czas kupić nową, oceniając po wgnieceniach ramy, ale oczywiście wiedziałem, że nie kupię nowej. Ani teraz, ani nigdy.

Wypuściłem z dłoni laskę. Ze stukotem upadła na ziemię. Kulejąc, ruszyłem ku linii serwisowej. Mój fizjoterapeuta nie pozwalał mi na razie nawet wsiadać na rowerek stacjonarny. Mój inny terapeuta byłby jeszcze mniej zadowolony, ale nic

mnie to nie obchodziło. Musiałem się przekonać, czy naprawdę jest tak źle, czy to prawda, co powiedzieli lekarze: że koniec ze sportem. „Koniec”. Jakby ostatnie dwanaście lat mojego życia znaczyło nie więcej niż lekcja wuefu na czwartej godzinie i właśnie rozległ się dzwonek na długą przerwę.

Wyjąłem piłkę z kieszeni i ustawiłem się do miękkiego serwu, tego najłagodniejszego, którego czasami używałem, żeby uniknąć drugiego błędu serwisowego. Ledwie oddychając, podrzuciłem wysoko piłkę i poczułem, jak napotyka siatkę rakiety. Nie było to całkiem przyjemne, ale do zniesienia. Wylądowała zgrabnie pośrodku pola. Celowałem w prawy tylny róg, ale niech będzie.

Potrząsnąłem nadgarstkiem. Skrzywiłem się. Stabilizator ograniczał mi ruchy, ale nie byłem na tyle głupi, żeby go zdejmować. A potem podrzuciłem drugą piłkę i mocno strzeliłem, przekrzywiając raketę, żeby trochę podkręcić serw. Wylądowałem na zdrowej nodze, ale siła uderzenia poniosła mnie do przodu. Potknąłem się i niechcący przeniosłem ciężar ciała na strzaskane kolano. Ból nadszedł bez ostrzeżenia.

Kiedy zdążył już zelżeć do znajomego tępego klucia, które nigdy całkiem mnie nie opuszczało, piłka cicho potoczyła mi się pod nogi, jakby szczydziła z moich nadziei. Serw nie wyszedł, nawet nie posłałem piłki za siatkę.

Miałem dosyć. Zostawiłem piłki na korcie, schowałem raketę do pokrowca i podniosłem laskę, zastanawiając się, po co w ogóle marnowałem czas.

Zamknąłem za sobą bramkę kortu. Na kampusie nagle zrobiło się trochę strasznie. Nad pustymi budynkami wisiały groźne cienie wzgórz. Ale oczywiście nie było się czego bać – poza pierwszym dniem szkoły i pokazaniem się wszystkim znajomym, których unikałem przez całe lato.

Eastwood High było kiedyś moim miejscem. Tym jedynym, jedynym miejscem, w którym wszyscy mnie znali, gdzie

czułem, że nigdy nie popełnię żadnego błędu. No i korty – grałem w reprezentacji od siódmej klasy. Kiedy szkoła należała jeszcze do mnie, na kortach znajdowałem spokój, wśród symetrycznych białych linii dzielących kwadraty w kolorze soczystej zieleni. Tenis był jak gra wideo, w którą zdążyłem już wygrać milion razy, więc dawno straciłem przyjemność ze zwycięstwa. Gra, w którą wciąż grałem, bo wszyscy tego ode mnie oczekiwali, a ja byłem dobry w spełnianiu oczekiwań. Kiedyś, bo teraz już nikt niczego ode mnie nie oczekiwał. Tak to już jest ze złotem, szybko zaczyna odłazić.

W liceum na człowieka czai się mnóstwo nieprzewidywanych publicznych upokorzeń, ale mnie nic takiego się dotąd nie przytrafiło. Aż do 8.10 pierwszego dnia ostatniej klasy. Bo o 8.10 tego ranka nie tylko zorientowałem się, że nie mam z kim siedzieć podczas porannego wiecu sportowego, ale też że będę musiał usiąść w pierwszym rzędzie, bo na wyższych trybunach było za mało miejsca, żebym mógł rozprostować kolano.

Pierwszy rząd zajmowali sami nauczyciele i ta jedna gotka na wózku, która twierdziła, że tak naprawdę jest czarownicą. Ale nie było takiej opcji, żebym na oczach całej szkoły wgramolił się po schodach, niezdarnie kulejąc. A wszyscy naprawdę się na mnie gapili. Czułem ich wzrok, śledzący mnie nie dlatego, że uzyskałem rekordową przewagę w wyborach do samorządu albo że trzymałem za rękę Charlotte Hyde w kolejce po kawę w bufecie. To było co innego. Miałem ochotę skrzywić się w milczących przeprosinach za ciemne wory pod oczami i brak choćby cienia letniej opalenizny. Miałem ochotę zniknąć, rozplynać się w powietrzu.

Każdy sektor trybun zdobiły balonowy łuk i transparent z szarego papieru. Usiadłem dokładnie pod literą „R” w napisie „DO BOJU, MATURZYŚCI!” i patrzyłem, jak członkowie samorządu uczniowskiego zbierają się w stadko pośrodku boiska do koszykówki. Wszyscy mieli na sobie plastikowe hawajskie naszyjniki i okulary przeciwsłoneczne. Jill Nakamura, nowa przewodnicząca naszego rocznika, była ubrana tylko w górę od bikini i poszarpane dżinsowe szorty. A potem stadko się rozpierzchnęło i dostrzegłem Charlotte chichoczącą z resztą cheerleaderek w minispódniczkach. Nasze oczy na chwilę się spotkały, lecz ona szybko odwróciła wzrok z zażenowaniem. Ale ten moment powiedział mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć: tragedia na imprezie Jonasa Beideckera należała do mnie i tylko do mnie.

A potem wydarzył się mały cud i na krzeselku obok usiadł Toby Ellicott.

– Słyszałeś o pszczołach? – zapytał wesoło.

– Co?

– Pszczoły. Znikają – wyjaśnił. – Naukowcy są kompletnie skołowani. Czytałem dziś rano w gazecie.

– Może to ściema? No wiesz: jak udowodnić coś takiego?

– Spis powszechny pszczół? – zasugerował. – Tak czy inaczej, zacznym inwestować w miód.

Od lat nie rozmawiałem z Tobym. Ja grałem w tenisa, a on należał do koła debat. Rzadko mieliśmy razem jakieś zajęcia. Nie zostało w nim już nic z pyzatego dzieciaka w wielkich okularach, z którym łączyła mnie przyjaźń aż do pierwszych tygodni szóstej klasy. Nadal miał na głowie szopę ciemnych włosów, ale przez te kilka lat zmienił się w pająkowatego dryblasa – mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt. Poprawił muszkę, rozpiął marynarkę i wyciągnął nogi, jakby trafiło mu się najlepsze miejsce.

– Powinieneś sobie sprawić laskę ze szpadą w środku – oznajmił. – To byłby hardkor. Znam właściwego człowieka, gdybyś był zainteresowany.

– Znasz typa od lasek ze szpadą?

– Nie udawaj, że tak cię szokują moje szemrane znajomości, Faulkner. Technicznie rzecz biorąc, on zajmuje się handlem antykami.

Wtedy huknęła muzyka. Najpierw rozsadzający czaszkę pisk z głośników, a następnie pierwsze takty katowanego do porzygu singla Vampire Weekend. Członkowie samorządu zaczęli klaskać jak frajerzy, żeby rozkręcić imprezę, a Jill wydarła się do mikrofonu, by wszyscy wiedzieli, jaka jest nakręcona na najlepszy rok szkolny w historii świata.

Nagle i zupełnie bez powodu samorząd zaczął tańczyć coś w rodzaju hula, wciąż w okularach przeciwsłonecznych i z girlandami sztucznych kwiatów na szyjach. Nie mogłem uwierzyć, że przed moimi oczami rozgrywa się coś tak absurdalnie nie na miejscu, taniec hula do dźwięków afrykańskich bębnow rockowego zespołu, założonego przez chłopców z drogiego college'u na Wschodnim Wybrzeżu.

– Błagam, powiedz, że mam haluny – wymamrotał Toby.

– MATURZYŚCI, JAK SIĘ CZUJECIE?! – wrzasnęła Jill.

Reakcja była ogłuszająca.

– NIE SŁYSZĘ! – krzyknęła znowu, wysuwając biodro w bok.

– Zabij mnie – jęknął Toby.

– Chętnie, ale gdzieś zapodziałem laskę ze szpadą.

Siedząca koło Toby'ego pani Levine posłała nam wściekle spojrzenie.

– Panowie, proszę się zachowywać albo się pożegnamy – warknęła.

Toby prychnął.

**KIEDY WYDAJE CI SIĘ,
ŻE TO JUŻ KONIEC, WŁAŚNIE WTEDY
MOŻESZ BYĆ...
NA POZĄTKU WSZYSTKIEGO.**

EZRA FAULKNER jest gwiazdą swojej szkoły: popularny, przystojny i dobrze zbudowany. Miał nawet zostać królem balu maturalnego. Ale to było zanim... Zanim dziewczyna go zdradziła, auto roztrzaskało mu kolano, jego dobrze zapowiadająca się kariera sportowa legła w gruzach, a przyjaciele zdobyli się jedynie na to, by wysłać mu do szpitala kartkę z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia.

CASSIDY THORPE to dziewczyna inna niż wszystkie. Zjeżdżała kawał świata, nocą wykrada się z gitarą na dach internatu, tańczy tak, jakby chwila miała trwać wiecznie, i zna naprawdę dziwne słowa.

Spotkanie tej dwójki jest przypadkowe, ale zmienia ich życie na zawsze. Cassidy wciąga Ezrę do swojego niesamowitego świata, w którym nie ma końców – są tylko nowe początki.

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-460-3



9 788375 154603

Cena detal. 36,90 zł

Dołącz do fanów książek Moondrive:
facebook.pl/MoondriveKsiazki